Nr. 2. We Lwowie, luty, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki — **W lutym wolno polować** na rogacze, cietrzewie i głuszce, dropie i pardwy, tudzież ptactwo błotne i wodne.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na 1-szy kwartał r. 1923 wynosi 5.000 Mkp. płatna do końca lutego.

Cena pojedynczego egzemplarza 800 Mk. — Prenumerata na I kwartał r. 1923 — 2.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 150.000 Mk, 1/2 str. 75.000 Mk, 1/4 str. 40.000 Mk. 1/8 str. 20.000 Mk, 1/16 str. 10.000 Mk, 1/32 str. 5.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

F. ROŻYŃSKI i Dr. E. SCHECHTEL.

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju.

(Praca odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Pol. Tow. Łow.)

(Ciąg dalszy).

Widzimy z tego, pomijając znacznie szybszy wzrost dochodu w Bawarji, że w tym kraju czynsze były w roku 1908 prawie 3 razy większe, niż w krajach austrjackich. Również w porównaniu z francuskiemi datami (polowania polne 0 54 do 8.70 fr.) widać, że tam czynsze dzierżawne za polowania gminne, wielokrotnie przewyższały cyfry, osiągnięte w krajach austrjackich, a nawet i niemieckich, mimo, że zwierzostany we Francji daleko są lichsze niż austrjackie, a bez porównania gorsze, niż niemieckie. O ile Francja w dochodowości z dzierżaw polowań gminnych przewyższa Niemcy i Austrję, trudno dokładnie osądzić, ponieważ daty przytoczone nie są współmierne; francuskie bowiem, nie operują przeciętnemi i dlatego nie można ich porównywać bezwzględnie z niemieckiemi i austrjackiemi. Jeżeli poszukamy przyczyny tej wyższości Niemiec nad Austrją, a Francji nad Niemcami, to przekonamy się, że pochodzi ona stąd, iż polowania gminne są w większym stopniu wydzierżawiane sportowcom, traktującym łowiectwo nie jako przedsiębiorstwo, którzy, jak wiadomo i jak to jest jasnem, płacą zawsze wyższe ceny. Jeszcze jaśniej wynika to z dat, które podajemy poniżej, a które zawdzięczamy b. galicyjskiemu Wydziałowi Krajowemu. W r. 1911 miały powiaty autonomiczne następujące dochody, z dzierżawy polowań gminnych: Lwów 12.800 K, Kraków 8.700 K, Kołomyja 5.360 K, Brody 5.600 K, natomiast Grybów 770 K. Widać z tego, jak sąsiedztwo centralne, szerzących kulturę łowiecką i dających większy kontyngent sportowców, wpływa znakomicie na podniesienie renty. Występuje nawet różnica między Lwowem i Krakowem. Lwów, gdzie sport łowiecki jest daleko silniej rozwinięty, daje znacznie więcej, mimo, że na ogół zwierzostany w Krakowskiem są nieco lepsze. Kołomyja, jako większe miasto, daje wielokrotnie więcej, niż maleńki Grybów, choć oba miasta leżą mniej więcej w jednakim terenie łowieckim. Pożyteczny wpływ sportu na rozwój łowiectwa, nie ulega zatem najmniejszej kwestji i dziwnem tylko może się wydać — wobec tych zimnych, lecz wymownych cyfr statystyki — tak często rzucamy łowiectwu zarzut, że jest ono „zabawką“, „sportem“. Tak, jakgdyby to było winą łowiectwa, że poza swoją cechą gospodarczo hodowlaną, poza swem ważnem znaczeniem ekonomicznem, jest jeszcze przedmiotem szlachetnego sportu. Takie sądy, a raczej przesądy, pochodzą oczywiście tylko z zupełnej nieznajomości znaczenia istoty łowiectwa. Dziś naprzykład nikomu nie przyjdzie na myśl nawet, nazwać rybactwo zabawką, dlatego, że jest ono również przedmiotem sportu, bo każdy już wie nareszcie, że ma ono, niezależnie od sportu, ogromne znaczenie ekonomiczne.

Z zestawienia przeciętnych czynszów widać wreszcie, jak nisko, jak bardzo nisko stoi nasze łowiectwo na terenach gminnych w Małopolsce, np. w porównaniu z Czechami.

Wyniki tej tabelki świadczą też smutnie o b. Galicji i Bukowinie, gdzie w roku 1908 wypadło tylko 0,5 karty myśliwskiej na 1 teren łowiecki, a tylko 2,3 kart (w byłej Galicji 1,9) w r. 1905,—na 1.000 mężczyzn powyżej lat 20.

Statystyk Forcher, dodaje od siebie znamienną i słuszną niestety uwagę, że widocznie wielu uchyla się od zakupywania kart. Ponieważ zaopatrywanie się w karty myśliskie było w b. Galicji obowiązkowe, więc mamy i tu przykład, że najlepsze przepisy nic nie pomogą, jeżeli się ich nie wykonuje należycie. Według bawarskiej statystyki, wypadało na 1.000 mieszkańców w r. 1898: 4.4, w r. 1968: 4.6 kart myśliwskich. W Austrji, z przeliczeniem na całą ludność, wypadało w r. 1900 i 1905 3,2, względnie 3,6. Dochód w b. Galicji za karty myśliskie wynosił według statystyki b. Wydziału Krajowego:

w r. 1910 24.615 K; w r. 1911 43.647 K; w r. 1912 36.708 K.

Wogóle daje się zauważyć wszędzie wzrost ilości wydawanych kart, co świadczy o ogólnem podnoszeniu się łowiectwa.

Karty myśliwskie.

GRUPY KRAJÓW	Ilość kart wydanych w roku 1900	1907	Procentowy przyrost wydawanych kart od roku 1900—1907	W r. 1908 wypadało na teren łowiecki kart:
Naddunajskich .	15.870	20.047	26.3	5.3
Alpejskich . .	18.308	20.962	14.5	2.9
Półn.-zachodnich	40.763	52.916	29.8	3.6
Pół.-wschodnich .	4.239	5.006	18.1	0.5
Nadmorskich . .	1.911	2.482	29.9	5.6
Razem . .	81.091	101.413	23.7	3.6

Karty myśliwskie.

GRUPY KRAJÓW	Dochód z kart w kor. w roku 19 0	1907	Procentowy przyrost dochodu od roku 1900—1907	Na 100 ha terenu łowieckiego wypadało z kart w kor. w roku 1900	1905
Naddunajskich .	126.640	133.218	5.2	41.43	43.31
Alpejskich . .	88.514*	110 134*	24.4	18.02	22.25
Półn.-zachodnich	253.031	311.544	23.1	35 98	40.64
Pół.-wschodnich .	25.985	32.011	23.2	3.04	3.90
Nadmorskich . .	10.457	12.828	22.7	13.28	15.40
Razem . .	504.627	599.735	19.7 średnio	22.35 średnio	25.10 średnio

*) Bez Tyrolu i Przedarulanji, gdyż w tych krajach nie pobiera się opłat za karty myśliskie.

ST. BARABASZ.

Z Zakopanego.

Na zebraniu zjednoczonych sekcji Towarzystwa tatrzańskiego, mianowicie przyrodniczej, ochrony Tatr, ludoznawczej, turystycznej i narciarskiej, miałem w dniu 22. b. m. odczyt na temat: Zwierzyna i kłusownictwo w Tatrach.

Znając nasze Tatry i tutejsze stosunki łowieckie od lat kilkudziesięciu, miałem sposobność obserwowania tam zwierzyny, jej ubytek lub przyrost w różnych latach, jak i tutejszych „strzelców“ jak kłusowników nazywają i przyszedłem do przekonania, że chcąc doprowadzić stan zwierzyny a zwłaszcza kozic, choćby do takiego stanu, jaki jest u naszych południowych sąsiadów, trzeba tę sprawę oddać w ręce myśliwym, którzy jedynie się na tem znają, a nie prawnikom, turystom, jak to dotychczas miało miejsce.

Właścicielami polskich Tatr, są dwaj więksi posiadacze i kilka gmin, które posiadają albo lasy, jak w zachodniej części Tatr, lub też jak we wschodniej i środkowej części, hale i wierchy.

To wszystko powinno tworzyć jeden lub najwyżej dwa rewiry myśliwskie, w których prawo polowania powinno być oddane nie ofjarującemu najwyższą kwotę dzierżawną, lecz dającemu pełną gwarancję, iż będzie prowadził racjonalną gospodarkę łowiecką, bez względu na to, czy to będzie jednostka, czy też towarzystwo myśliwskie,

Koszty utrzymania tego rewiru w dobrym stanie, służba łowiecka, wybudowanie domków myśliwskich i t. p. będą ogromne, dochód żaden, zwłaszcza z początku, gdy trzeba kilka lat czekać na poprawę zwierzostanu, to też tylko ideowi myśliwi i przytem rozporządzający dużym kapitałem mogą się oto pokusić.

Służba łowiecka powinna być złożona nie z leśnych miejscowych, którzy zajęci lasem, nie mają czasu ani zrozumienia do pilnowania zwierzyny.

Strażnicy ci powinni mieć wstęp do wszystkich rewirów sąsiednich.

Powinno być porozumienie między właścicielami względnie dzierżawcami wszystkich rewirów myśliwskich w Tatrach, a więc i tych po słowackiej stronie, w celu ścigania kłusowników, co się nie trudno da osiągnąć.

Należy wyznaczyć wysokie wynagrodzenie za schwytanie kłusownika, względnie za dowód stwierdzający jego winę.

Należy baczną opiekę rozciągnąć nad hotelami i pensjonatami, gdzie kupują kradzioną zwierzynę w każdej porze roku i karać nawet odebraniem koncesji.

Wobec przeciążenia sądów, gdzie sprawy wloką się bardzo długo i gdzie często niema należytego zrozumienia dla przestępstwa, jakiem jest kłusownictwo, powinny starostwa mieć możność karania w drodze administracyjnej i to doraźnie.

Przytem należy znieść bezwzględną ochronę kozic, która istnieje tylko na papierze i nie jest wykonywaną, bo niema kto o to dbać.

Właściciele rewirów i ich straż leśna nie mają żadnego interesu w pilnowaniu zwierzyny, na którą im polować nie wolno, chronią ją więc dla kłusowników lub też dla sąsiadów z południowej strony Tatr.

Jeżeli właściciel rewiru nie jest myśliwym, bo i taki zachodzi tu wypadek, to tem bardziej stan zwierzyny się nie podniesie, bo niema kto o nią się troszczyć, więc kłusownicy w takim rewirze śmielej grasują.

Zniesienie ustawy o bezwzględnej ochronie kozic nie przesądza, aby nie wprowadzić czasowej jej ochrony, lecz trzeba ukazać w perspektywie możności polowania później na nie.

W odczycie przytoczyłem mnóstwo przykładów z życia kłusowników, od lat dawniejszych, do najnowszych, ich sposoby polowania, spotkania ze strażą leśną, omawiałem stosunki, które wojna wytworzyła i podałem wyżej wymienione sposoby uchronienia kozic od zagłady.

Jako przykład, wskazałem dobra jaworzyńskie i bronoskie, gdzie gospodarka łowiecka jest racjonalnie prowadzona, gdzie się poluje i gdzie dlatego właśnie kozic jest dużo.

Nie wątpię, że i u nas znalazłby się taki ideowy myśliwy jak ks. Hohenlohe, któryby zechciał i mógł objąć polowanie w Tatrach i doprowadził zwierzynę do kwitnącego stanu.

Pokazało się jednak, że poglądów moich nie zrozumiano. Jakto — mówiono — przez lat były kozice pod bezwzględną ochroną i nie rozmnożyły się nadzwyczajnie, a teraz, gdy je wolno będzie zabijać, będzie ich przybywać? Poprostu nie wiedziano czego ja chcę, przemawiałem do słuchaczy zupełnie nie zrozumiałym dla nich językiem, bo nie było między nimi ani jednego myśliwego.

Jeden z obecnych wyraził się z całą szczerą naiwnością, że oddać sprawę kozic myśliwemu, to znaczy poprostu wpuścić wilka do owczarni. Na taki argument nie było co odpowiadać.

Jednak gdy przyjdzie sprawa ochrony kozic i rezerwatu w Tatrach na porządek dzienny sejmu, nie wątpię, że Małopolskie Towarzystwo łowieckie będzie miało wyrobioną już w tej sprawie opinję i decydujący głos.

KAZIMIERZ GOŁĘBSKI.

Strzelaczom „jastrzębi zimowych“ ku pamięci!

W piękny dzień zimowy, odwiedza mnie mój sąsiad, najzacniejszy człek pod słońcem, najlepszy sąsiad i przyjaciel, oraz towarzysz polowań przygodnych i już od progu peroruje:

„Ależ kochany sąsiedzie! jak można cierpieć u siebie tyle jastrzębi! po drodze do sąsiada, naliczyłem ich dwadzieścia kilka sztuk! A wie sąsiad: u mnie teraz inaczej! kupiłem mojemu smarkaczowi u Dzikowskiego małokalibrowy sztucerek i powiadam sąsiadowi: mój smarkacz, podczas ostatnich ferji świątecznych, natłukł taką masę jastrzębi, że już niema ich gdzie rozwieszać! Mówił mi mój chłopiec, że teraz dopiero będziemy mieli więcej zwierzyny! I wie kochany sąsiad — co mnie ogromnie cieszy? nie to, że mój malec tak celnie strzela — ale że już dziś muszę mieć dla niego szacunek i respekt, jako dla myśliwego-hodowcy!“

* * *

Słońce przed chwilą skryło swą tarczę, by świecić naszym antypodom, czerwienią się jeszcze wspaniałe korony nasienników bukowych, rozrzuconych po zrębie, który bierzemy jako miot ostatni.

Wiecznie ciekawa i gadatliwa sojka, uważa już za stosowne przerwać dyskurs i pożegnawszy swe towarzyszki kilkakrotnym trywialnym wrzaskiem, opuszcza się po gałęziach coraz niżej i wypatruje miejsce, gdzieby noc spokojnie przepędzić.

Limfatyczne, pozbawione wszelkiej fantazji i tylko o jadle myślące trznadle sadowią się w gęstwinie, a że i ich rodzice inteligencją zbytnią nie grzeszyły, więc czynią to niezgrabnie, obsiadając gromadnie jedną wiotkę gałązkę, która ich ciężaru unieść nie może — stąd częste przesiedlania się wśród gęstwiny, czemu towarzyszy bezmyślny ćwierkot, dopóki ostatni członek rodziny nie usadowił się w miejscu, które mu przypadek nadarzył.

Zmierzch już zapada, więc i myszołowy skandynawskie, nasi zimowi goście, nadciągają od pól, gdzie od wczesnego ranka zdawały egzamin cierpliwości, siedząc nieraz godzinami całemi na kretowinie lub samotnej gruszce polnej, marząc o myszce, bo tylko tę strawę Stwórca im przydzielił. Płyną więc poważnie i milcząco prostolinijnie ku nasiennikom bukowym, by po nocnym wypoczynku znowu wypatrywać swej zdobyczy, po okrytych białym całunem śniegu otwartych polach.

Rozmyślam właśnie nad tem, jak ciężkie życie te poczciwe ptaki mają i dlaczego, opuściwszy swą ojczyznę teraz zmrożoną, nie podążyły dalej na południe — tam, gdzie i stół obficiej miałyby zastawiony i ciepło wiecznej wiosny — gdy oto budzi mnie kanonada moich sąsiadów na lewo odemnie.

Momentalnie chwytam silnie strzelbę w zadumie dotąd niedbale opuszczoną, by być przygotowanym na wszelką ewentualność — lecz co widzę!

Mój sąsiad na lewo nabija szybko wystrzeloną strzelbę i dobija zbarczonego myszołowa, podczas gdy następny sąsiad celnym strzałem kładzie drugiego myszołowa i z tryumfem daje znaki porozumiewawcze swemu towarzyszowi na prawo!

Po miocie ileżto było opowiadań na temat tych celnych strzałów, podziwu dla ilości „jastrzębi“ w tej okolicy — a spotkały mnie także wyrzuty — że mogąc zabić kilka przeciągających ponad moją głową „jastrzębi“, wcale się do nich nawet nie złożyłem!

* * *

Ciężki i pamiętny dzień miałem: po grudzie i niezamarzniętych należycie wybojach, dotarłem nareszcie do powiatowego miasta, znarowiwszy konie, połamawszy resory u wózka, z rozhuśtanemi wnętrznościami, przysięgając sobie, że o takiej porze i po takich drogach już więcej do stolicy powiatu nie pojadę, choćby mnie nie 3, jak dziś, ale 5 posiedzeń czekało!

Pierwsze posiedzenie zapewne już się zaczęło — ale, że mam odbyć oprócz tego jeszcze 2 inne a ostatni termin zapłacenia daniny upłynął — więc pędzę jeszcze do kasy skarbowej, by powinność moją spełnić, jak na dobrego obywatela przystało.

Po drodze do urzędu natknąłem się na p. X, który coś zawzięcie gestykulując, trzyma jednego z ziemian za

---

Feljeton.

Ze wspomnień dziecinnych.

Hołubie. w grudniu, 1922.

Dzięki nieznanej, a życzliwej mi osobie, której tą drogą dziękuję za to najuprzejmiej, otrzymałem przez pocztę Nr. 12. „Łowca“.

Dziś, kiedy mnożnik do obliczeń wynagrodzenia za pracę nie postępuje w odpowiednim tempie do spadku waluty, trzeba się wyrzec tego pisma, gdyż jest za drogie dla zwykłych śmiertelników, a szczególnie dla tych, którzy się nie ulękli niebezpieczeństw wojennych, pozostając na posterunkach, zostali z materjalnego dorobku przedwojennego zupełnie obrani, dziękując Bogu za to, że bodaj cudem życie uratowali. Obecnie na prenumeratę roczną „Łowca“ musiałby niejeden 8 do 12% płacy rocznej poświęcić, gdy przed wojną za tę prenumeratę zaledwie 5 do 10% z płacy miesięcznej wydał.

Już sam widok okładki „Łowca“ dawno niewidzianej, był dla mnie w tym zakątku — odciętym od świata przepaścistemi drogami, jakie mokra jesień wytworzyła — miłą niespodzianką, gdyż mi przypomniała inne, lepsze czasy, kiedy to jako członek Towarzystwa łowieckiego, od czasu do czasu skromnym, a niedołężnym artykulikiem lub korespondencją, do wzbogacenia treści tego pisma się przyczyniałem, a cóż dopiero, gdy ten numer „Łowca“ otworzyłem i ujrzałem podobiznę tak świetnie udaną, Tego, niestety, już nieżyjącego, któremu w dziecinnych latach towarzyszyłem w najpiękniejszych zabawach, a zarazem w nauce, która pod okiem mego, dawno zmarłego ojca, ówczesnego łowczego ordynacji łańcuckiej, zaszczepiała w dziecinne dusze tak hrabicza Józia, jakoteż moją, upodobanie do myslistwa.

Co to była za rozkosz dla chłopca 9-cio letniego, gdy w środy i soboty popołudniu — w których to dniach nauki w szkole nie było — trójka kucyków z wózkiem i chłopcem hrabicza Józia, zajeżdżała, a raczej wpadała na podwórze — gdyż kucyki inaczej, jak galopem, chodzić nie umiały — by mnie zabrać i powieść do zamku łańcuckiego na polowanie, które tam „na różnych kontynentach“ się odbywały.

Hrabicz Józio ze swoim guwernerem p. Ambroziewiczem, przebywali wtedy w Łańcucie — gdy rodzice Jego ze starszem rodzeństwem w Wiedniu, czy gdzieś za granicą bawili i tam się uczył. Do nauki należało także myślistwo już od najwcześniejszej młodości i właśnie godziny tej nauki były wyznaczone na te dnie, gdzie mogłem i ja z tejże korzystać i towarzyszyć w łowach hrabiczowi Józiowi.

Na ogromnej tafli w wysokości około 60 cm od podłogi, były urządzone lasy z drzew ołowianych, drewnianych, gipsowych etc. Były tam drzewostany wysokie i krzaczaste, były lasy szpilkowe i liściaste, urządzone zawsze, zdaje się, pomysłowością mego ojca, stosownie do rodzaju zwierzyny, na jaką polowano i polowania. Lasy te były zwykle przecięte dwoma linjami. Pierwszą linję zajmował hrabicz Józio, a drugą ja i zwierz, który nie padł na pierwszej linji, był ostrzeliwany przezemnie na linji drugiej. Do

guzik, a spostrzegłszy mnie nadchodzącego, odrazu ad rem przystępuje: „Bo to proszę pana dobrodzieja właśnie tłómaczę p. Y — że u nas absolutnie niema co marzyć o jakim takim panie dobrodzieju stanie panie dobrodzieju zwierzyny — dopóki panie dobrodzieju nie wytępimy panie dobrodzieju jastrzębi, które panie dobrodzieju tak strasznie się panie dobrodzieju rozmnożyły.

Właśnie opowiadam panie dobrodzieju panu Y, że na jego polach panie dobrodzieju ubiłem z mojego sztucera w ciągu miesiąca panie dobrodzieju 35 — „sage“ 35 ogromnych jastrzębi. Ilu kurom panu Y panie dobrodzieju ocaliłem życie i a przedewszystkiem panie dobrodzieju zajączków przyspożyłem naszemu panie dobrodzieju Towarzystwu łowieckiemu, które się świeżo u nas panie dobrodzieju zawiązało, a którego łowczym, mam się panie dobrodzieju panu delegatowi zaszczyt przedstawić. Proszę sobie wyobrazić panie dobrodzieju, ile zająccy taki jastrząb jest w stanie w ciągu roku panie dobrodzieju wyłowić!

Przyjąwszy panie dobrodzieju, że taki ogromny jastrząb zje codziennie panie dobrodzieju jednego zająca — no! niech powiem: jednego zająca w 2 dniach — no! niech w 3 dniach! — to panie dobrodzieju w ciągu miesiąca jeden jastrząb złapać może 10 zajęcy — a w ciągu roku panie dobrodzieju 120 zajęcy — a 35 jastrzębi w ciągu roku 4.200 — „sage“: 4.200 zajęcy uratowałem dla naszego Towarzystwa! Co pan dobrodziej na to?

Wymawiam się, że bardzo mi spieszno, że jedno posiedzenie się już zaczęło, że drugie niebawem się zacznie a po niem trzecie, że w międzyczasie muszę jeszcze daninę zapłacić! ale nic nie pomaga! widzę mój guzik silną dłonią ujęty i że jak na dziś trzeba będzie wyrzec się spełnienia wszystkich obywatelskich obowiązków!

Na szczęście wybawia mnie z tego przykrego położenia woźny ze starostwa. raportując, że „panowie proszą bardzo, bo posiedzenie komitetu niemocy... (przepraszam) pomocy rolnej już się zaczęło“.

* * *

Biedne ptaki! ile was corocznie u nas zginąć musi, dlatego, że macie dziób zakrzywiony i szpony! Broni was wprawdzie ustawa, w obronie waszej pojawiają się od czasu do czasu w „Łowcu“ artykuły, mające na celu pouczenie myśliwych, które z t. zw. drapieżnych ptaków są szkodliwe i tępić je należy, a które pożyteczne, wziąć na ochronę bezwzględną zasługują — lecz niestety, jak wielu jest jeszcze myśliwych takich, dla których każdy ptak o dzióbie zakrzywionym jest „jastrzębiem“.

Suche, naukowe artykuły, traktujące o ptakach drapieżnych, najczęściej pomija przeciętny czytelnik „Łowca“ i woli przeczytać coś bardziej zajmującego, postanowiłem więc spróbować podać tą samą rzecz w formie przystępnej i praktycznej:

W porze zimowej znajdziesz u nas miły czytelniku tylko 3 gatunki ptaków drapieżnych, a te są:

1) Jastrząb gołębiarz (Astur palumbarius).
2) Krogulec (Astur nisus).
3) Myszołów włochaty, albo skandynawski (Archibuteo lagopus).

Pierwsze dwa, należą do szkodników i tępić je należy, zwłaszcza pierwszego — ostatni zaś jest ptakiem pożytecznym i na bezwzględną zasługuje ochronę.

Tak pod względem upierzenia, jak i pod względem zachowania się, trybu życia etc. różnią się pierwsze dwa od myszołowa tak dalece, że już na pierwszy rzut oka rozróżnić je łatwo można.

Jastrząb gołębiarz i o wiele mniejszy od niego krogulec posiadają spód biały z poprzecznymi popielatymi prążkami — myszołów zaś posiada na piersiach ciemno-brunatną plamę a nad nią jasną podkowę, obie z daleka wyraźnie widoczne.

Pierwsze dwa mają nogi nieupierzone — myszołów zaś aż do palców upierzone, stąd jego nazwa (włochaty).

Pierwsze dwa wierzch ciała mają koloru stalowo-popielatego — myszołów brunatny, biało nakrapiany, ogon zaś biały, przy końcu z brunatną pręgą.

Co do myszołowa włochatego, to rzadko zdarza się spotkać dwa egzemplarze, któreby miały takie same ubarwienie, trafiają się o odcieniu ciemnem, jasnem i tak dalece nawet jasnem, że z daleka, zwłaszcza w zimowe piękne słoneczne dnie wyglądają jakby białe. W moim zbiorze ornitologicznym, który niestety Moskale w r. 1916 staran nie opakowawszy, do Rosji wywieźli, posiadałem 3 egzem

---

wypędzania zwierza z lasu służyły sznurki pociągnięte po pod taflą, a za parawanem przy jednym końcu tafli manipulował ten, kto zwierzynę do sznurków przyczepiał i przeciągał przez linje. Funkcję tę spełniał zwykle lokaj, który jednak się do tego długo nie nadawał, gdyż często — a może miał taki rozkaz — gdyśmy polowali w Afryce na lwy, przeciągnął przez linję tygrysa, albo, gdy polowanie było w Indjach, wysunął się z zarośli lew, były i takie wypadki, że podczas polowań w środkowej Afryce na nosorożce, słonie, lwy etc., które to polowania ze szczególną pasją hrabicz Józio lubiał, pojawił się biały niedźwiedź. Taka zwierzyna zostawała nieostrzelana, a lokajowi, który się ani rusz z fauną zwierzęcą kontynentów oswoić nie umiał, dostawała się nauka w tonie wytwornym, słowami: „Phoszę ciebie, w Afhyce niema tyghysów“, albo: „Phoszę ciebie, niedźwiedzie żyją na północy, a nie w Afhyce“.

Uważałem, że uwagi robione przez hrabicza Józia lokajowi, rozweselały twarze tak p. Ambroziewicza, jakoteż mego ojca, prawdopodobnie dlatego, że dowodziły, iż hrabicz Józio dobrze się orjentuje, gdzie, jaką zwierzynę szukać należy.

Jako broń do strzelania służyły wiatrówki, których kilka w użyciu było. Ojciec mój jako srogi mentor z dziedziny myślistwa, nie puścił żadnego uchybienia myśliwskiego, pouczał w mierzeniu, trzymaniu broni, prostował, uspokajał przy gorączkowaniu się, uczył wyrazów myśliwskich, opowiadał o zwyczajach różnych zwierząt i sposobach łowienia tychże etc. Obaj z hrabiczem Józiem jednakośmy go respektowali, a zdaje się, że hrabicz Józio go niemniej kochał odemnie, z wdzięczności za myśliwskie zabawy.

Po śmierci ojca mego, w kilkanaście lat później, objąłem zarząd łowczego w Łańcucie i tam kilka razy się podczas polowań z hrabią Józefem Potockim spotykałem, który mając na względzie lata dziecinne, bardzo łaskawie i życzliwie się do mnie odnosił, a gdy Łańcut opuściłem i przeniosłem się do Żurawna, przypomniał sobie tego, z którym w dziecinnej wyobraźni świat opolował i zabiegał w roku 1902 przez ówczesnego dyrektora lasów łańcuckich, p. Reichardta, by mnie dla Pilawina pozyskać.

Jakkolwiek dusza się moja tam rwała, to jednak względy familijne i miejsce zajęte przezemnie w Żurawnie, stanęły temu na przeszkodzie. Niezawodnie, wypadki po wojnie rosyjsko-japońskiej, albo wreszcie tragiczny koniec Pilawina w r. 1917, mogły być i dla mnie tragicznym końcem, gdybym był się tam przeniósł. Obecnie rozmyślam nieraz nad tem, czy nie lepiej było rozkoszować się i pracować w Pilawinie i razem z nim zginąć, jak patrzeć na zniszczenie i ruinę pracy i zabiegów tyloletnich i zaczynać od nowa, pod stokroć trudniejszymi warunkami. Cała i jedyna w tem pociecha, że się pracuje w Polsce i to dodaje odwagi, energji i otuchy.

Zaszczepiona żyłka myśliwska przez mego ojca w młodociane dusze, zrobiła swoje, Józef hrabia Potocki stał się wielkim miłośnikiem przyrody i kultury łowieckiej i pozostanie w pamięci jako pierwszy myśliwy, ja zaś stałem się skromnym, jednak zamiłowanym leśnikiem i hodowcą zwierzyny.

Józef Stary.

plarze o różnych odcieniach, z których jeden posiadał głowę białą zupełnie, a wierzch koloru bladej pantarki. Upierzenie pierwszych t. j. gołębiarza i krogulca silnie przylegające, zaś u myszołowa nastroszone, co sprawia, że wydaje się dużym ptakiem, choć takim w rzeczywistości nie jest

Nogi u gołębiarza silne, z potężnymi szponami, u myszołowa, choć jest większym od poprzedniego — stosunkowo wątłe o szponach również niewydatnych, co już samo wskazuje, że pierwszy jest drapieżcą, zdolny porwać kurę a nawet zająca, myszołów zaś, jak nazwa jego wskazuje, do łowienia myszy przeznaczony, większych stworzeń nie jest w stanie upolować.

Lot gołębiarza i krogulca śmiały i szybki — u myszołowa ociążały, powolny. Myszołów bardzo często staje w powietrzu i długo na miejscu wachluje skrzydłami, a upatrzywszy swą zdobycz (mysz) spada na nią prostopadle z góry. Przeważnie wysiaduje myszołów nieruchomo całemi godzinami na ziemi, na kretowinie, lub skibie, lub przed norą mysią na śniegu, lub wreszcie wypoczywa na pojedyńczo stojących drzewach polnych, gruszach i t. p., siedząc zawsze na wierzchołku drzewa. Ojczyzną myszołowa włochatego (skandynawskiego) są kraje polarne: północna Szwecja, Laponja, Finlandja. Tam się gnieździ i rozmnaża. Do nas przylatuje z końcem października lub w listopadzie, gdyż nie może znieść tamtejszej ostrej zimy — odlatuje zaś z powrotem do swej ojczyzny w marcu lub w pierwszej połowie kwietnia. U nas przeciąga z miejsca na miejsce i zatrzymuje się dłużej tam, gdzie znajduje żer obfity, a więc w okolicach nawiedzonych przez myszy widuje się nieraz po kilkadziesiąt sztuk pojedyńczo siedzących na polach śniegiem pokrytych.

Wyłącznem pożywieniem jego u nas są myszy, także krety — a jeżeli kiedy zdarzy się go zastać na kuropatwie lub zającu — to tylko wtedy, gdy powiodło mu się odebrać zdobycz gołębiarzowi — co czyni zawsze ze satysfakcją i szczególna rzecz, że taki śmiały drapieżnik, jak gołębiarz, wyrzeka się swej zdobyczy i pozostawia ją swemu prześladowcy. Scenę taką raz sam obserwowałem, jak myszołów zmusił gołębiarza do pozostawienia mu schwytanej korupatwy. Jeśli niekiedy zdarzy mu się napotkać postrzeloną lub chorą kuropatwę lub postrzelonego zająca — naturalnie nie pogardzi taką strawą — ale to zdarza się chyba bardzo rzadko i z tego powodu prześladować go nie godzi się.

Jest to więc ptak bardzo pożyteczny, który oddaje wielkie usługi rolnictwu, zwłaszcza w czasie klęski myszy, co też u nas dość często się zdarza.

W laboratorjum rolniczem w Królewcu, badano zawartość 6 egzemplarzy ad hoc ubitych i znaleziono we wolu: I. 1 mysz, II. nic, III. 4 myszy, IV. 5 myszy, V. 2 myszy, VI. 4 myszy a ani śladu innego pokarmu.

Badania całego szeregu ornitologów zgadzają się ze sobą pod tym względem — że wyłącznem prawie pożywieniem myszołowa włochatego są myszy — zatem apel do panów myśliwych: Myszołowów skandynawskich, jako ptaków nader pożytecznych nie strzelać! przestrzegać, by inni tego nie czynili, pouczyć strażników należycie, nie wypłacać im strzałowego za zabicie tych ptaków, w razie ubicia myszołowa na polowaniu, traktować ten czyn jako niemyśliwski i stosownie dotyczącego myśliwego traktować!



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

W końcu zimy dziki robiły mi duże szkody w stertach zboża, na folwarku Zawadzieńcu, pod lasem ustawionych. Zasiadłem więc pewnej nocy na jednej z nich, mając inne na dobry strzał przed sobą. Około północy przyczłapało niepostrzeżenie stado dość duże i obległo mą stertę dokoła, bez ceremonji wyszarpując jej wnętrze. Dochodzi mnie odór chlewni, kwiki gryzących się prosiąt, szamotanie się z grochowinami, a ja jestem całkiem bezsilny i strzelać nie mogę. Na domiar mego niepowodzenia, firmament dotąd względnie jasny, ciemnemi zawlókł się chmurami, zaczął padać zimny deszcz z mokrym śniegiem i zacinać mi prosto w oczy. Znudzony ostatecznie, zakaszlałem, stado podemną huknęło jednym głosem i pobiegło ku lasowi. Strzeliłem w zbitą, ciemną ich masę, dla postrachu jedynie. Ze świtem poszedłem za śladem, który na rozmiękłej roli łatwo odnalazłem. Pod lasem jedna niewielka sztuka odbiła się od reszty stada i pogranicznym rowem powlokła się ku sąsiedniej wsi Grochowa. Po godzinie znalazłem ją w chacie grochowskiego kolonisty, który mimo mych argumentów, warchlaka oddać mi nie chciał. Powróciłem więc z pustą torbą i w złym humorze do domu, zziębły po nieprzespanej nocy.

W marcu spadły ostatnie śniegi, zarzuciłem sztucer na plecy, wskoczyłem na mego Dońca i ruszyłem w dębinę. Krzyżując ją w różnych kierunkach, natrafiłem na świeże ślady potężnego pojedynka. Szedł czas jakiś w prostej linji, wyszedł z rzadkiej dębiny w przyległy zagajnik, przeciął go i zrobiwszy kilka kręgów, powrócił w las wysoki. Mijając rozłożysty świerk, u pnia którego widniał duży kopiec mrówczy, spostrzegłem legowisko zwierza, lecz zaledwie sięgnąłem po sztucer, z hukiem runął pod nogi Dońca wspaniały wiepsz. Nie zdążyłem wystrzelić, mój koń dał tak tęgiego szempaka w bok, że o mało nie wysadził mnie z siodła i poniósł mnie daleko od dzika. Gdym go wreszcie uhamował i zawrócił na ślady, zwierz dosięgał zagajeń i nikł w nich mi bezpowrotnie.

W maju, korzystając z dnia świątecznego, wziąłem Rabusia i na mym wściekłym Dońcu udałem się do kniei. Nie długo kręciłem się po ścieżynkach, gdy pies coś zwęszył i zanurzył się w błotniste zarośla. Słysząc czas dłuższy naszczekiwania Rabusia, uwiązałem konia i spiesznie podążyłem za jego głosem. Idąc po miękkich mchach, ostrożnie zbliżyłem się do małej polanki, gdzie na środku stała rozjuszona maciora, opędzając się od natarczywości psa. Na mój widok pies jeszcze zaciekłej zaatakował zwierza, który cofając się, zasłaniał sobą gromadkę pręgowanych prosiąt rudawych, z których Rabuś pochwycił jednego, potrząsnął nim tak silnie, iż z rozerwanego brzucha część wnętrzności wyleciało. Na żałosny widok biedaka, maciora powraca i rzuca się na psa, lecz strzał mój, dla postrachu dany, ratuje psa od jej silnej paszczy. Byłem zmuszony wziąć rozochoconego psa na pasek, by nie robić jatek z reszty prosiąt, które przywarowały w wysokich trawach i łatwo złapać je można było. Późną jesienią udało mi się z tegoż stadka upolować jeszcze jedną sztukę młodą, podczas kopania kartofli znaczne wyrządzającą szkody.

Brata mego, doktora, w Częstochowie mieszkającego, łączyła serdeczna przyjaźń koleżeńska z p. Fr. Siemieńskim, właścicielem Masłowic w Radomskiem. Od lat wielu bywałem tam z bratem na corocznych polowaniach na dziki. I dziś zjechaliśmy na zapowiedziane łowy. Czas był zimny, mglisty i pochmurny, wiatr szalał po lesie, kręcił zeschłymi liśćmi i łamał gałęzie. Spodziewanego zwierza nie było w pięknej, dzikiej kniei, więc po spolowaniu dzi-

czych rewirów bezowocnie, strzelaliśmy do kozłów, lisów i zajęcy, mordując biedne zwierzęta bez litości i rachuby. Pozostawał nam ostatni miot pod samym folwarkiem, do spolowania. Między nagonką był stary miejscowy młynarz z garłaczem, osadzonym na nowem łożu wierzbowem, spojonym z niem świecącą blaszką i miedzianym drutem. Tego nemroda swojskiego p. S. stawia pod samym folwarkiem na miedzowym kopcu i każe mu strzelać do dzika, gdy na niego wyjdzie, w same oko. Niedługo rozległy się wrzaski nagonki, pokazało się kilka kotów na naszej linji, zagrzmiało parę strzałów i sztuk kilka z żałosnym bekiem rozstawało się z doczesnym swym żywotem. Już większa część naganiaczy wychyliła się z lasu, gdy od strony kopca gromki zabrzmiał wystrzał, a gdy długo nasz młynarz nie okazywał się, wysłano konnego po niego. Z przerażonej twarzy powracającego chłopca, odgadliśmy jakieś nieszczęście, jakoteż podjechawszy do kopca, uderzył nas widok niezwykły. Na zboczu pagórka leżał biedny starzec z rozbitą twarzą i odrzuconą okrwawioną ręką bez palca, w prawej kurczowo ściskał kawałek białego drzewa z swej flinty, o kilka zaś kroków leżał przed nim wspaniały odyniec z kawałkiem ołowiu we łbie. Jak się okazało, pomysłowy myśliwy dla pewności strzału do nabitej rury swej wbił jeszcze kawał ołowiu młotem i zapewne nie dobiwszy go należycie, spowodował ten rozryw rury i nieszczęśliwy wypadek.

W czasie jesiennych zajęć w lesie stałem przed szerokim gościńcem makowskim, gdy na sąsiednich polach gutowskich zauważyłem kilku jeźdźców-charciarzy. Z poletka kartofli pomknął rudy, swojski kot, za którym puszczono dwie smycze. Naciśnięty kot przez charty, wypada na szeroki wygon, gdzie chroniąc się przed pościgiem, wpada między kupkę bawiących się dzieci pastuszków i skacze na głowę z nich największemu. Powstał nieopisany zamęt i rozdzierające duszę dziecięce wołanie o pomoc. W tumanie kurzawy nic rozpoznać nie podobna było, a dobiegłszy, okropny przedstawił się nam widok. Psy kończyły rozrywać kota na głowie chłopca, który omdlały z bólu i przerażenia tarzał się w pyle drożnym. Twarz i cała głowa przedstawiały okrwawione strzępy podartej skóry łapami kota. Długo ten widok straszny stał mi przed oczyma, a krzyk dziecięcy szumiał mi w uszach całe lata.

Z niedługiego mego pobytu w Kodrębie radomskim niewiele mam do zanotowania, jednakże o polowaniu na wydry zamilczeć mi trudno. Miejscowy proboszcz ks. Kryszon, w urządzonych sztucznie kilku stawach, zaprowadził hodowlę pstrągów. Długie lata cieszył się księżunio swem dziełem, z dumą opowiadał każdemu o niem, a ciekawych chętnie oprowadzał i prezentował swe bogactwa. Corocznie sztuk kilka rozdarowywał znaczniejszym barankom swej parafji, w czasie odpustu nie żałował biskupowi swych złotych wychowańców. Ale nadszedł kres radości księdza. Pewnego poranku znalazł on nad brzegiem stawów niedojedzone liczne szczątki swych złotych rybek, wydra poczyniła straszne spustoszenie w jego gospodarstwie. Wiele mniej czułych matek nie opłakuje tak szczerze śmierci swych dziatek i nie okazuje tak grobowo smutnego oblicza, z jakiem zjawił się o pomoc moją nieszczęsny księżunio. Nie odmówiłem biedakowi i w najbliższy wieczór już siedziałem pod upustami stawów, skąd miałem rozległy widok na stawy i rzeczkę i skąd dochodził mnie szum wody i turkot kół młyńskich. Pierwsza noc przeszła mi bez wrażeń i osięgnięcia jakiegośkolwiek pożądanego rezultatu, lecz będąc w mej myśliwskiej pasji zawsze dość upartym i zawziętym, nie dałem za wygrane i nocy następnej znów tam się znalazłem na czatach.

Już księżyc przebiegł większą część swej drogi i pod jego skośnem światłem wszelkie cienie nadmiernie wydłużać się poczęły i dziwaczne przybierały kształty i formy fantastyczne, gdy od strony młynów pokazał się wydłużony cień, w podskokach idącego rabusia „Tyś moja“ — pomyślałem — i jeszcze szczelniej przywarłem do drewnianej upustowej zastawy. Niezadługo plusk wody upewnił mnie o rabunkowej gospodarce w księżej śpiżarni. Widziałem, jak co chwila wynurzała się z wody, wynosiła zdobycz na brzegi, znów powracała do wody po nową ofiarę. Czekałem stosownej chwili rozpoczęcia uczty, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy wypłynęły na powierzchnię dwie sztuki, wyszły na brzeg i do wspólnej zabrały się uczty. Miałem je o 60 kroków przed sobą. Po mym dublecie jedna pozostała bez ruchu na grobli, inna plusnęła do wody. Przesiedziałem do rana, by nie wypuścić pewnej zdobyczy i gdy dzień zawitał, zauważyłem na spokojnej tafli stawu wydobywające się na powierzchnię bąbelki wodne. W płytkiej wodzie i przeźroczem dnie stawu nie trudno było mi odnaleźć rabusia, jak się okazało, lekko rannego i dostrzelić go. Radość i wdzięczność proboszcza nie miała granic i omało nie udusił mnie w swym litewskim, niedźwiedzim porywie.

(C. d. n.)

DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Ciąg dalszy).

Pasja myśliwska pointera jest tak wielka, że dominuje nawet nad uczuciem przywiązania i wierności. Kto z nim chwilowo poluje, ten jest jego panem. Doznałem

tego na owej idealnej pointerce o której przed chwilą pisałem. Lady była własnością mego sąsiada i stałego towarzysza myśliwskiego p. Z, Pewnego lata, gdy przyjechałem na wakacje, p. Z., który był chory i nie mógł polować, prosił mię, bym wziął Lady do siebie, żeby nie zależała pola. Pojechałem więc do niego ze strzelbą, wziąłem Lady, po drodze do domu zabiłem kilka przepiórek i Lady od tej chwili na krok mnie już nie odstępowała. Po wakacjach odwiozłem Lady do p. Z. i tego samego dnia pojechałem na kolej. Na drugi dzień z rana, kiedy moja siostrzyczka jak zwykle na dzień dobry do mego pokoju weszła, Lady leżała pod mojem łóżkiem. W ciągu dnia p. Z. przyjechał i zabrał Lady. Na drugi dzień ta sama komedja. Za trzecim razem przyjechał p. Z. ze strzelbą i pojechał z Lady na polowanie. Od tego czasu Lady u niego została.

Z tego wszystkiego wynika, że pointer jesj idealnym legawcem, ale tylko w rękach bardzo dobrego myśliwego i w dobrym rewirze.

Pointer jest ogromnie inteligentny i bardzo wcześnie się rozwija i dojrzewa, zarówno fizycznie jak umysłowo, co powinno być przy wychowaniu wykorzystane. Tresurę, a raczej wychowanie, powinno się rozpocząć jaknajwcześniej, najdalej w trzecim miesiącu i powinno się przedewszystkiem skierować ku opanowaniu i złagodzeniu temperamentu i wyrobieniu bezwzględnego apelu. Stawanie jest u pointera wrodzone, w przeciwieństwie do setera, którego dopiero do tego tresować trzeba. Od 7-mego miesiąca począwszy, powinno się psa w pole prowadzić i tam tresurę uzupełniać.

Hodowla pointera w Niemczech jest bardzo rozpowszechniona i stoi na bardzo wysokiej stopie, zarówno pod względem czystości krwi, jak pod względem piękności. Pod względem zaś zalet myśliwskich pointery niemieckie bezwarunkowo wyżej stoją od angielskich i daleko łatwiej dają się do wszelkich potrzeb tresować, z wyjątkiem może tropienia, do czego absolutnie talentu nie mają, chociaż i tu bywają wyjątki.

Nie mogę tu przytaczać nazwisk znakomitych hodowców pointerów, chociażby z tego względu, że podczas wojny dużo tu zmian zaszło i że straciłem w ostatnich czasach kontakt z kynelogją międzynarodową. Adresy angielskie znaleźć można w „Illustr.-Kennel News“ albo „Our Dogs“, niemieckie zaś w „Pointer und Setter-Zuchtbuch“, wydawanym w Monachjum albo w „Oe H. St. B.“, wydawanym przez „Oe Kynologen Verband“. Niestety, „Oe H. St. B“. od r. 1914 nie wyszedł z druku wskutek finansowych trudności. W ostatnich rocznikach tego Stammbuchu znalazłem sporo nazwisk hodowców galicyjskich z wcale szlachetnym materjałem. (C. d. n.)



WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Duglaś i Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy szczuć przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

(Ciąg dalszy)

18. Pomoc dajcie mi rodacy.

Było to w tych złych dla mnie czasach, kiedy jeszcze dobrych psów nie posiadałem.

Przyjechało konno do Rosochowaćca, kilku kolegów z pułku, więc urządziłem dla nich polowanie.

Szło nam fatalnie, jako że i nie mogło być inaczej, bo charty były gałgany wierutne, rzetelne kandydaty do suchej gałęzi. Wykpiło nam się parę szaraków w najgłupszy sposób, ale koroną mojej kompromitacji, była następująca afera z lisem.

Miejsce polowania, łan mój, zwany Sijanka wielka, 90 morgów, wówczas zasadzony kartoflami. Łan ten spada dość silnie, w kierunku rzeczułki Tudynki, w tym miejscu wcale nie szerokiej. Brzegi rzeczki sucha łąka. Właśnie wtedy robotnicy kartofle kopali. Wyrywa przed nami lis, Szczujemy. Galop idzie z góry na dół przez Tudynkę. Za rzeczką dostaje lis obrot, wraca przez Tudynkę pod górę na kartofle, tu znowu parę obrotów, znowu retour przez rzeczkę, znowu napowrót w kartofle i tu chłopi i baby mykitę ryskalami ubili.

Charty podłe tchórze, dochodziły lisa, dawały mu obroty, ale żaden się nie poważył tknąć go zębem i gdyby nie pomoc kilkudziesięciu ludzi, byłby nam lis przepadł.

Charty te, jak z powyższego się okazuje, nie były biercze, co u chartów stanowi grzech śmiertelny, gorszy, niż brak szybkości. Przy braku szybkości, straci się parę zajęcy, o co mniejsza, ale brak bierczości, wszelkie polowanie psuje.

19. Ciekawe polowanie.

Opowiem wam, towarzysze mili, o jednem polowaniu, o jakiem zapewne nigdy w życiu nie słyszeliście, a jakiego, przy zmienionych dziś zupełnie warunkach łowieckich, zapewne nigdy nie zobaczycie.

O kilkanaście kilometrów od Rosochowaćca, leży nad Strypą, piękny majątek Cywińskich, Płotycza. Jest tam duży staw i odpowiedni obszar wierzchowin, zarośniętych trzcinami.

Polowanie na tych wierzchowinach, ale nie błotne i wodne, dzierżawił mój przyjaciel Longin Łoboś z Taurowa i płacił za nie pani Cywińskiej matce, tenutę roczną rogacza i 12 zajęcy.

Na tych to wierzchowinach, urządził nam raz Łoboś bajeczne rozkosze myśliwskie.

Trzciny obstawiliśmy strzelcami, a na brzegach, od miejsca do miejsca, smycz chartów. W trzciny puściliśmy psy gończe.

Co to za przepyszna była zabawa. Cały dzień prawie, bobrowały gończaki po trzcinach, a co uszło strzałom myśliwych, szczuliśmy chartami. Rezultat był bardzo zadowalający, 12 lisów i kilka zajęcy. Lisy przeważnie uszczute, za mało bowiem było strzelb, aby obstawić tak wielki obszar.

Niestety były to już ostatnie gończaki Łobosia, a te nader ciekawe łowy, już się nie powtórzyły. Nawet nie wiem, czy ma kto dziś gończe psy, czy usłyszę kiedy, tak za serce chwytającą myśliwego muzykę.

20. Co się prócz lisów i zajęcy szczuć przydarzyło.

Zając i lis, to zwykła charciarska zdobycz. Czasem jednak przypadek zrządził, że Djana myśliwego i innym uszczęśliwiała podarkiem.

Raz wczesnym rankiem, nad wierzchowiną wielkiego bohatkowieckiego stawu, zdarzyło mi się zahecować śpiącą wydrę. Niepozorne to stworzonko i do szybkiej niesposobne ucieczki. Moje charty jednak choć dobre i bardzo biercze, ciężką z nią miały rozprawę, tak się dzielnie odgryzała i tak zaciekle życia swego broniła.

Innym znów razem, szczułem na srokatej, złej stopie, rogacza. Niestety uszczuć go nie mogłem, bo znane wam już charty moje Duglas i Szejtan, zniechęcone złą stopą, odarłszy sobie pazury, nagle zastrejkowały, a rogacz przepadł.

Raz chciałem szczuć odyńca zabłąkanego w stepie, ale charty, po kilku atakach, takiego nabrały respektu, dla tego potężnego borów naszych mocarza, że nawet gonić za nim, nie ośmieliły się. Znany mi jest z mojej okolicy wypadek, gdzie przy takiej samej próbie, dzik brzuch koniowi pod ekonomem, rozpłatał.

Psów i kotów w karjerze mojej uszczułem moc niezliczoną, oczywiście nie z pasji myśliwskiej, a dla nauki młodych chartów, w których walka z kotem i psem, bierczość i konieczną zaciętość wyrabia.

Muszę tu przy tej sposobności napomknąć o charcie moim Dolocie, ale nie ochrymowieckim. Ludożerca ten, recte psożerca, rozgryzał uszczutym psom brzuch i ze wstrętnem łakomstwem wnętrzności wyjadał

A świń, a baranów i innych pożytecznych domowych zwierząt, ileż to moje charty połapały. Wyraźnie jednak piszę, połapały, a nie uszczułem, bo nie ochota myśliwska tu działała, lecz szelmowska napastliwość, chartom wrodzona. Ja zaś takie napaści moich faworytów, musiałem w następstwie, załatwiać ugodowo i finansowo.

Wreszcie la fine fleur. Boże bądź mi miłościw, Święty Hubercie wstaw się za mną, gdy mnie na trybunale niebieskim za to haczyć będą! O mały włos nie uszczułem baby w dziewiątym miesiącu!

Wiosną i latem jeżdżąc konno, zawsze brałem ze sobą wszystkie charty, rozumie się w krawatkach, to jest z kłodami do obróży przyczepionemi, aby przypadkiem czego zakazanego ustawą łowiecką, nie uszczuć. Chart, którego cnota, rezyduje w nogach, musi używać dużo ruchu, inaczej traci swą szybkość. Nie można je więc przez cały rok aż do sezonu, zamykać.

Napotykamy raz małą psinę. Charty do niej, psina w nogi. Na polu opodal, obiecująco wyglądająca baba, ogartuje kartofle. Piesek wpada babie między nogi, za nim któryś z chartów, wraz z kłodą. Baba wylatuje w górę, a potem bęc o ziemię i leży. Nie patrząc już w tę stronę i mocno niespokojny, wracam inną drogą do domu. Na progu stoi już stroskany człowiek, i „szczo bude teper“ do mnie powiada. Na dochtora, rzeknę mu, wyjmując 100 koronowy papierek.

Chwała Bogu, nic się babie nie stało. Urodziła zdrowego chłopaka, nawet „ne tra buło dochtora“.

(C. d. n.)

Korespondencje.

Przystań, p. Mosty Wielkie, w grudniu, 1922.

W dniu 23. grudnia zastrzeliłem zająca, który po wypatroszeniu okazał się „kotną samicą“, z czterema, prawie zupełnie już wykształconymi zajączkami.

Przypuszczam, że lekka, bezśnieżna tegoroczna zima jest przyczyną tego anormalnego wybryku natury.

Radzikowski.

* * *

Rzemień, w grudniu, 1922.

Chcąc poprawić stan zwierzyny w Rzemieniu, postanowiłem przedewszystkiem zadzierżawić wszystkie polowania gminne, przylegające do obszaru dworskiego — i w ten sposób, mając straż pilnującą polowania, zapobiec kłusownictwu, które się w powiecie mieleckim w zastraszający sposób szerzy. Po zaciętej walce z przedstawicielami gminy „Tuszyma“, zdołałem drogą licytacji za cenę 80.000 Mkp. otrzymać polowanie gminne. Największy jednak trud przedstawiało zdobycie wprost polowania na gruntach gminnych w Rzemieniu, przylegających do obszaru dworskiego. Aby więc przeprowadzić na to polowanie licytację, zwołał wójt wszystkich przedstawicieli gminy i spółki łowieckiej. Kiedy jednak w naznaczonym przez wójta dniu żaden z nich się nie stawił, przeprowadzono wedle ustawy licytację z wolnej ręki i oddano mi polowanie za cenę 40.000 Mkp. i 5.000 różnych kosztów licytacji (koszty te, jak później się dowiedziałem, była to wódka i papierosy dla wójta i kilku radnych, biorących udział w licytacji). Kiedy jednak Starostwo tutejsze dowiedziało się o wyżej opisanej licytacji, uznało ją za nieważną, polowanie mi odebrano i oddano następnie znanemu w naszym powiecie kłusownikowi Arciszewskiemu, który nawet nie posiada pozwolenia noszenia broni. Naturalnie, koszty licytacji nie zostały mi zwrócone. Nie dość na tem, że chłopi w okropny sposób tępią zwierzynę w terenach przez nich dzierżawionych, ale nawet polują nocami po moich gruntach z nagonką, przyczem sprzyja im śnieg obfity tegorocznej zimy i jasne noce księżycowe. Straż jest w tym wypadku wobec przeważającej siły, mającej broń, bezsilną i nie widzę dotychczas sposobu, by zapobiec tym orgjom kłusownictwa. Przed kilku dniami sam widziałem, jak chłopi, polując w nocy z nagonką, zabili na moim terytorjum 7 zajęcy. Nie chce mi się wierzyć, by Władze powiatowe mogły tolerować taką gospodarkę chłopów, jednak z przykrością i wstydem przyznać muszę, że na to wygląda, a co gorsza, że dowiaduję się z wiarogodnego źródła, że zające są częstem pożywieniem tutejszych pp. żandarmów. Skąd, jak i co, tego nie wiem, jednak tak jest. Ponieważ wszelkie urgensy i prośby skierowane do tutejszych Władz nie odniosły żadnego rezultatu, zapytuję Szanowną Redakcję, do kogo należy tę sprawę skierować, by ją skutecznie załatwiły, gdyż jeśli tak dalej pójdzie i nie będziemy temu radzić, ładnie będą się przedstawiały nasze stosunki łowieckie. Dobrzeby też było, gdyby pp. delegaci powiatu mieleckiego, zajęli się goręcej tą sprawą.*)

Antoni Szaszkiewicz.

* * *

Kilka uwag.

Tematem powyższych uwag jest krótka charakterystyka dotychczasowej gospodarki myśliwskiej w drobnych rewirach gminnych Małopolski, z uwzględnieniem wpływu wojny na polepszenie, względnie pogorszenie się stanu drobnej zwierzyny pożytecznej i drapieżnej. Nie rozporządzam w tej kwestji dokładnie datami statystycznemi ze wszystkich stron Małopolski, jednak czytelnik, który tej sprawie poświęcił trochę uwagi, znajdzie zapewne w moich słowach potwierdzenie wielu swych spostrzeżeń.

Gdy pamięcią sięgniemy w czasy przedwojenne, to przyznać musimy, że hodowli zwierzyny na terenach drobnych nie było. Stan jej zależnie od dzierżawcy i pomyślnego roku był lepszym lub gorszym, trudu tępienia drapieżników, a ochrony zwierzyny, nikt sobie nie zadawał. I działo się u nas zupełnie przeciwnie, niż w innych krajach b. Austrji, gdzie równolegle do rozwoju kultury rolnej postępowała hodowla drobnej zwierzyny. W Czechach, a także w Niemczech, hodowano i hoduje się w rewirach o najwyższej kulturze rolnej i leśnej, nieprawdopodobne ilości zajęcy, kuropatw i bażantów! Co lepsze, że przy niewielkich staraniach i wkładach pieniężnych, zdołano ograniczyć szkody przez tę zwierzynę wyrządzane. U nas żaden z dzierżawców, czy nawet właścicieli mniejszych rewirów, nie zadawał sobie trudu hodowli, lecz każdy chciał polować. Że przy takich myśliwych nie było mowy o naturalnym nawet przyroście zwierzyny, raczej wszędzie jej było coraz mniej, jest zupełnie zrozumiałem.

Nadeszła wojna! Pierwszą jej dobrą stroną było automatyczne zamknięcie polowania, które, ostrożnie biorąc, trwało trzy lata, a miejscami nawet dłużej. Złożyły się na to rozliczne okoliczności, a najważniejszemi były: zdeponowanie legalnie posiadanej broni w Starostwach inwazja nieprzyjacielska i służba wojskowa wielu myśliwych Przez ten więc przeciąg czasu zwierzyna wysiawiona była na działanie wpływów i sku-

*) Sprawę powyższą przedstawić należy właściwemu delegatowi powiatowemu (Red.)

tków wojny. Co do szlachetnej zwierzyny, to stwierdzono niejednokrotnie, że wpływy te wielce były szkodliwe i do dzisiaj jeszcze widoczne! Co do drobnej zwierzyny, to wydaje mi się, że jej stan nietylko się nie pogorszył, ale owszem, znacznie się poprawił. Przemarsz zwartej linji wojsk i huk armat, bezwarunkowo i tutaj wprowadziły nieco zamieszania, które jednak nie pociągnęło za sobą skutków niepomyślnych. N. p. co do zajęcy, to przypuszczam, że ich częściowe przesiedlenie się w odleglejsze okolice, skąd nie mogły powrócić, było tak pożądanem odświeżeniem krwi. Skutkiem tego wzmogła się płodność samic i stan liczebny wzrósł. Również dla kuropatw wojna nie pociągnęła złych skutków. Nigdy tylu i tak licznych stad nie było w drobnych rewirach, co bezpośrednio po wojnie!

Kto jednak bacznym był obserwatorem, wnet zauważył, że zastraszająco wzmogła się także liczba czworonogów i ptaków drapieżnych, których warunki bytu znaczne się poprawiły w czasie wojny, dla wielkiej obfitości padliny, pozostającej po przeciągnięciu taborów wojskowych. Nie przesądzimy, jeżeli powiemy, że na polach i w lasach pojawiły się całe falangi drapieżników. W pierwszym rzędzie co do ilości szedł lis, ten groźny wróg wszelkiej zwierzyny i ptactwa domowego! Dalej kuna, tchórz, łasica i borsuk, który również nie jest takiem niewiniątkiem, jak się wydaje i jak mniemano! Z ptaków znacznie się rozmnożyły jastrzębie, puhacze i wrony. Szkodliwość tych ostatnich powszechnie jest niedocenianą przez drobnych rolników i myśliwych! Nakoniec dwa niemniej groźne wrogi zwierzyny, psy i koty bezdomne, których liczba z powodu wojny również znacznie wzrosła. Każdy prawie oddział wojskowy miał swego psa-włóczęgę — czasem nawet bardzo pięknego, rasowego — które to psy często gubiły swoje oddziały i włócząc się po polach, żyły własnym przemysłem, powiększając i tak już liczny zastęp szkodników.

Wojna się skończzła albo się przeniosła w inne strony, padlina nie na długo starczyła, więc cała ta falanga drapieżników w poszukiwaniu żeru, z wściekłością rzuciła się na zające i kuropatwy, tropiąc je w dzień i w nocy. Prędzej czy później pojawisł się w rewirze także nowy, względnie dawny jego dzierżawca, aby polować!

Dwa są główne typy dzierżawców rewirów gminnych, dwojakiego też rodzaju gospodarkę w nich się prowadzi, mianowicie: ugorową i rabunkową!

Ta pierwsza ma miejsce, gdy kupiec, adwokat, lekarz lub urzędnik, dla rozrywki dzierżawi dany rewir w pobliżu swego miejsca zamieszkania. Jeżeli jest człowiekiem zamożnym, trzyma sobie dobrego legawca, wychodzi z nim lub sam kilka razy w sezonie na ptaki, kilkanaście razy na zające, urządza jedno polowanie z nagonką dla sąsiadów-myśliwych i sprawa skończona. Jeżeli może się poszczycić odstrzałem 20—30 sztuk wogóle, jest całkowicie zadowolonym. Zwykle jednak i tego nie osiąga, co jest zupełnie zrozumiatem, jeżeli zważymy, że jak rok długi, nie dbano zwierzynę, ani też o tępienie drapieżników i wtedy tylko znajduje się w rewirze, gdy poluje, to znaczy, w sezonie. Przez resztę roku opiekę nad zwierzyną sprawuje uproszony lub opłacony strażnik-chłop, który, o ile sam nie poluje, wtedy jest w danym punkcie obecnym, kiedy przypadkowo ma tam interes do zatatwienia, Jak przy takim myśliwym i strażniku wygląda stan zwierzyny, to zależy od rozlicznych okoliczności, tylko nie od nich. Kilkanaście strzelonych sztuk wielkiego uszczerbku nie sprawia ale zato są inne, wymienione już czynniki, które skutecznie przeszkadzają liczniejszemu rozmnożeniu się zwierzyny. Niechaj się więc nie dziwi taki myśliwy, że zamiast spodziewanych dziesięciu stad kuropatw, znajduje tylko trzy i to nieliczne; jeżeli jednego roku ma zajęcy dużo, drugiego mało. Natomiast niech się przypatrzy, o ile więcej jastrzębi i wron krąży w powietrzu, a w gęstwinach niech poszuka szkieletów zajęcy, które padły pod kłami drapieżników, albo wyginęły wskutek chorób. Brakło w krytycznym czasie opiekuna, brakło myśliwego-hodowcy. W rezultacie są w takim rewirze zające, są ptaki, są lisy, kuny, borsuki, jastrzębie i stada wron, jednem słowem wszystko, co Bóg stworzył, żyje na łasce losu i opatrzności w stosunku, który natura sama reguluje.

Gorzej jest, gdy teren danej gminy dzierżawi chłop. Nie można się skarżyć, aby on kiedykolwiek pozostawiał rewir na łasce opatrzności, albo też niedbałych strażników. Zimą i latem spotkać go można o różnych porach dnia i nocy ze strzelbą w rewirze Gdy tylko sezon się zacznie, workami wywozi zające do miasta. Kuropatwy strzela masami, albo chwyta w sidła. Również lisowi, kunie, ani tchórzowi, nie przepuści dla drogiego futerka. Zresztą te same się wynoszą gdy nie znajdują pożywienia. Stada wron, psy i koty swobodnie włóczą się po polach, chłop nie uznaje ich szkodliwości. Jednego tylko znałem myśliwego-chłopa, który obok zajęcy i kuropatw strzelał bez pardonu każdego spotkanego psa i kota, Niestety, unikat ten... zwarjowat! W rezultacie, po paru latach takiej gospodarki, rewir przedstawia obraz nędzy i rozpaczy. Jest on pasożytem sąsiednich rewirów, a dzierżawca poluje tylko na granicach, tak, że wszelka zwierzyna, która ją przestąpi, jest straconą.

Z powyższego zestawienia widać, że stan rewirów gminnych, bezpośrednio po wojnie, względnie dobry, chylił się ku upadkowi. Zwierzyna tępiona przez drapieżników, a także przez człowieka — gdyż, jak wiadomo, w każdej wsi znajduje się przemysłowy chłopek, operujący strzelbą lub sidłami — pozbawiona opieki w ciężkich czasach, nie mogła wzrastać, lecz podupadała. I rychło doczekalibyśmy się ruiny zwierzostanu w wielu rewirach gminnych, szczęściem natura sama sobie radzi. Na dowód przytoczyć można stwierdzony w wielu punktach kraju świerzb — czy też parchy — u lisów. Zapewne i inne mniejsze szkodniki, jak kuny, tchórze, łaski, w tymsamym stosunku doznawały klęski, gdyż liczba ich jest obecnie również mniejszą. Natomiast uchronił się od zarazy borsuk, nie lubiący padliny. W znanym mi rewirze, z pięciu nor, opuszczonych przez lisy — z powodu zarazy — trzy zajęły borsuki! To jednak, co natura sama czyni, nie wystarcza; zadaniem i obowiązkiem człowieka jest dopomaganie naturze!

Wdzięczne pole do pracy znajdują tutaj prawdziwi myśliwi i członkowie M. T. Ł. w każdym powiecie. Ich staraniem powinno być nie wydzierżawienie pojedyńczych rewirów gminnych, lecz całych kompleksów, albo nawet całego terenu powiatu i zaprowadzenie racjonalnej hodowli drobnej zwierzyny pożytecznej. W tym celu powinni oni utworzyć rodzaj kooperatywy i wybrać ze swego grona komitet, któryby opracował plan szczegółowy postępowania i zajął się jego przeprowadzeniem. Sądzę, że dla takiego komitetu nie byłoby trudnem wydzierżawienie większego kompleksu terenów gminnych — a z czasem choćby obszaru całego powiatu — zwłaszcza przy poparciu Starostwa. Dotyczące obszary dworskie zapewne dobrowolnie przyłączyłyby się do akcji, co byłoby pożądanem dla uniknięcia luk w całości. Następnie staraniem komitetu byłoby wyszukanie i wykształcenie odpowiednich strażników. Może nim być z powodzeniem dobry rolnik, byle uczciwy, Zapewne wskazanem i wielce pożytecznem byłoby utworzenie jedno dwutygodniowych kursów dla takich strażników — któryby miał na celu teoretyczne i praktyczne zaznajomienie ich z obowiązkami. Byłyby one, zwłaszcza z początku, liczne i trudne, a do najważniejszych zaliczyć należy bezwzględne tępienie wszelkich szkodników. Wytępienie złodziei i kłusowników, przy dobrej woli, wymagałoby niewiele trudów, natomiast walka z drapieżnikami rozciągnęłaby się lata całe. Najskuteczniejszymi środkami w niej są, jak wiadomo, żelaza i pułapki, trucizna i zniszczenie gniazd. Co do pierwszych, to może przy obecnym stanie waluty niemieckiej kalkulowałoby się sprowadzenie ich nawet z Niemiec, o ile cło nie jest nadmierne. *) Trucizna wychodzi powoli z użycia, jednak dla masowego trucia wron jest nie do zastąpienia. Drugim, równie ważnym obowiązkiem strażników, byłaby ochrona zwierzyny pożytecznej i jej gniazd na wiosnę. Są to rzeczy tak znane, że nie będę ich szerzej rozwijał, lecz przejdę z kolei do strony finansowej przedsięwzięcia. Opłacenie dzierżaw, utrzymanie strażników, sprowadzenie żelaz, pułapek i trucizny, wszystko to pociągnęłoby za sobą niewątpliwie duże koszty, które pokryć musieliby członkowie, należący do kooperatywy. Aby ich ewentualnymi stratami w początkach nie zrazić, musiałby komitet nader ostrożnie

*) Żelaza takie wyrabia we Lwowie „ARMA“, fabryka broni (patrz ogłoszenie).

i celowo czynić wkłady. Jest jednak oczywista. że nawet przy małem powodzeniu, obecne ceny skórek gwarantują zwrot kosztów z procentem, byle tylko znalazł się ktoś, ktoby całemu przedsięwzięciu nadał odpowiedni kierunek. Sądzę, że kilku takich myśliwych w każdym powiecie się znajdzie. a reszta z zapałem weźmie udział w tej pięknej i wdzięcznej pracy, godnej prawdziwego myśliwego. Aby praca nie była daremną, koniecznem jest odpowiednie zabezpieczenie granic takiego wzorowego rewiru, żeby przypadkowo nie mieć za sąsiada myśliwego-rabusia. Starostwa nie powinny stanowczo zatwierdzać na dzierżawach polowań chłopów, którzy znani są z notorycznego tępienia zwierzyny. Na nic nie przyda się w przeciwnym razie zamykanie polowania na pewien rodzaj zwierzyny w powiecie, gdyż takich zarządzeń przestrzegają tylko rozumni myśliwi, którzy i bez tego tosamoby czynili. Dzierżawca-chłop nigdy na to nie zważa, a niestety kontrola jest prawie niemożliwą. Dlatego raczej żadnego dzierżawcy, niżby nim miał być rabuś!

W innych krajach stanowi hodowla zwierzyny ważną gałąź naturalnego bogactwa narodowego! Dlaczegoż i u nas nie mogłoby tak być? Inicjatywa jednej osoby nic tu nie dokaże, gdyż potrzeba wytężonej akcji wspólnej. Sądzę, że zapoczątkować ją powinien czynnik tak zasłużony w sprawach łowiectwa, jak M. T. Ł., które posiada poparcie Władz i pismo własne, co daje wszelkie warunki powodzenia.

Niechaj te jednostronne uwagi przysłużą się poruszonej sprawie, chociażby przez zaczęcie wszechstronniejszej dyskusji, któraby wydała owoce. Pamiętajmy o niemieckiem powiedzeniu: „Kein Heger, kein Jäger“. *St. Z.*

* * *

Lisko, styczeń 1923.

Sprawozdanie delegata z pow. liskiego.

Powiat liski, jeden z największych w województwach Małopolskich, pod względem topograficznym podzielić można na 3 strefy.

Największy obszar, mniej więcej 60% powierzchni całego powiatu to strefa wysokich gór ponad 1000 m. ponad poziomem morza, rozciąga się na południe wzdłuż b granicy węgierskiej i częściowo ku środkowi powiatu; przeważnie większe kompleksy leśne.

Strefa II. to środek i północna część powiatu, miej więcej 30% powierzchni powiatu. Wzniesienie do 1000 m. ponad poziom morza, mniejsze kompleksy leśne, więcej górzystych gruntów rolnych.

Strefa III. najmniejsza rozciąga się wzdłuż doliny Sanu od granicy powiatu Sanockiego i w części południowo-zachodniej powiatu. Wzniesienie do 500 m. ponad poziom morza, lasy położone na wzgórzach, szersze doliny i pola urodzajniejsze.

Odpowiednio też do położenia i jakości gruntów rozsiedlony jest jakościowo i ilościowo zwierzostan w powiecie liskim.

W strefie I. siedziba jeleni, dzików, trafia się nie rzadko niedźwiedź, w ostatnich latach pokazywały się wilki, lecz nie w wielkiej ilości. — Jeleni stan od r. 1914 znacznie się zmniejszył, dzików zaś pomnożył. Stan drobnej zwierzyny minimalny.

W strefie II. jelenie przechodnie, stan sarn i zajęcy zwłaszcza od r. 1914 równie minimalny. Kuropatw niema, jarząbki trafiają się w lasach których jeszcze nie wyrąbano.

W strefie III. jelenie przechodnie zatrzymują się jednak cały rok w tych lasach, w których nie są cały rok niepokojone; stan ich od r. 1920 stale się poprawia. Stan sarn który przed r. 1914 był wcale pomyślny, spadł bardzo; od 2 lat w tych okręgach łowieckich, gdzie jest racjonalna gospodarka, znacznie się poprawił.

Zajęcy nigdy tu dużo nie było, przed r. 1914 w najlepszych warunkach na polowaniu w kilka strzelb, polując w lesie można było dojść do rezultatu 15 do 20 sztuk. Po r. 1914 stan zajęcy spadł również bardzo, w ostatnich dwóch latach widać poprawę i jest nadzieja, że w okręgach z racjonalną gospodarką łowiecką, powróci do stanu przedwojennego,

Jarząbków ilość dość znaczna. Kuropatwy, których przed r. 1914 zwłaszcza na polach dworskich w dolinie Sanu było po kilka stadek, po r. 1914 prawie zupełnie wyginęły i od kilku lat stadka kuropatw nie spotkałem.

Lisy, których przed r. 1914 w powiecie całym było bardzo dużo, podczas wojny prawie zupełnie wyginęły, zwłaszcza na parchy.

Dziki przed r. 1914 trzymały się głównie w strefie I. i częściowo w strefje II. Od r. 1916 stan ich znacznie się powiększył i rozeszły się po całym powiecie. Jednak od r. 1920 znowu stopniowo wycofują się w góry.

Jak z powyższego wynika, stan łowiectwa nie byłby w powiecie liskim najgorszy i są widoki znacznej poprawy, gdyby wszędzie była racjonalna gospodarka i należyta ochrona.

Wprawdzie Starostwo zamknęło polowanie na jelenie i rogacze na lat 3; polowania gminne zostały w r. 1922 na nowo wydzierżawione i w Starostwie są wydane karty myśliwskie; jednak pomimo tego dużo jest niepowołanych pseudomyśliwych, którzy zwierzynę tępią. *A. K.*

* * *

Sielec, w styczniu, 1923.

Dnia 28. i 29. listopada odbyło się w Sielcu u księcia Olgierda Czartoryskiego polowanie polne na zające. Ubito 28. w dwóch kociołkach i jednej ławie 250 zajęcy, 29. przy fatalnej pogodzie, wichrze i deszczu, ubito w 10 strzelb, w czterech kociołkach 500 zajęcy. Królem polowania pierwszego dnia był jenerał Carton de Viart, szef misji wojskowej angielskiej, drugiego dnia hr. Fleurieu, z misji francuskiej.

Stan zwierzyny o wiele gorszy niż zeszłego roku, dosięga jednej czwartej stanu przedwojennego. Kuropatw jeszcze mniej, a bażant niebawem stanie się chyba rzadkim okazem w Wielkopolsce.



Sprawy Towarzystwa.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Przewidywane i w numerze styczniowem Łowca zapowiedziane przeniesienie biura Towarzystwa do lokalu zajmywanego przez przedsiębiorstwo sklepowe „Army“ przy ul. Lindego l. 9. nie nastąpiło; na przeszkodzie bowiem tym zamiarom stanął spodziewany szybki rozwój sklepu „Army“, a więc zapotrzebowanie całego lokalu dla niej samej.

Biuro Towarzystwa pozostaje tedy nadal w dotychczasowym lokalu przy ul. Mickiewicza l. 6. w Gmachu Kasyna Narodowego w podwórzu, gdzie prosimy adresować i wogóle zwracać się w sprawach Towarzystwa.

W sprawach czysto redakcji „Łowca“ dotyczących można się też zwracać wprost do Naczelnego redaktora, wiceprez. Mniszka, w godzinach przedpołudniowych w lokalu sklepowym „Army“.

Dobrowolną daninę myśliwską w dalszym ciągu złożyli:

Bronisław Chrzanowski 5000. Leon Kiszakiewicz 1.000. Dr. Stefan Puchalski 5.000. Stanisław Biliński 7.000. Roman Kruszewski 7.000. Henryk Haszlakiewicz 7.000. Marjan Osmólski 7.000 Kazimierz Rulikowski 7.000. Władysław Lang 7.000. Włodzimierz Patraszewski 7.000. Inż. Jakób Jakubowicz 3.000.

Józef Pałasiewicz 5.000. Jan Łukasiewicz 5.000. Stanisław Kuźniewicz 1.000. Adam br. Heydel 5000. Jan Marcinków 1.000. Władysław hr. Borkowski 10.000. Dr. Stefan Iszkowski 5.000. Marjan Jaroszyński 25.000. Juliusz Salwach 2.500. Wiktor Domański 2.500. Eustach Rylski (dodatkowo) 20.000. Henryk Linderski 10.000. Stanisław Stanisz 5.000. Kazimierz Weiss 5.000. Zygmunt Padlewski 2.000. Teofil Pirkiel 2.000. Antoni Bronisław Budzianowski 1.000. Dr. Stanisław Sidorowicz 2.000, Wiktor Molski 5.000. Bolesław Banatowski 1.000. Maksymilian Doubrawski 5.000. Inż. Witołd Doliński 5.000. August Sołtysik 11.000. Dr. Tadeusz Dziurzyński 2.000. Tow. myśliwych w Zbarażu 5.000. Antoni Góralski 2.000. Karol Kotschy 2.000. Roman Frankowski 5.000. Tadeusz Kasztelewicz 2.000. Karol Fröhlich 2.000. Bolesław Wittig 2.000. Marjan Wartanowicz 5.000. Dr R. Lenartowicz 3.000. Inż. Celestyn Morawski 3.000. Inż. Antoni Ilgner 2.000. Władysław Gürtler 3.000. Ignacy Osiewicz 2.000. Konstanty Pereświet Sołtan 1.000. Franciszek Berger 2.000, Władysław Cichocki 1.000. Stefan Rutkowski 5.000. Myśliwi zebrani u Dr. Adama Midowicza w dniu 5/12 1922 na polowaniu w Swilczy 10.500. Dr. Adam Midowicz 6.000. Towarzystwo myśliwych w Rzeszowie 10.000. Stanisław Kowal 1.000. Stanisław Kiełczewski 10.000. Adolf Gaweł 1.000. Dr. Tytus Vrabetz 15.000. Stanisław Lipski 10.000. Gen. Tadeusz Rozwadowski 20.000. Roman hr. Zaleski 5.000. Jan Godzicki 2.000. Inż. Walery Kisielewski 5.000. T. F. C. Kraków 10.000. Mieczysław Kruszewski 7.000. Andrzej Oborski 5.000. Jan Hanakowski 10.000 Stanislaw Matuszewski 2.000. Inż. Tadeusz Kobylański 2.000. Ludwik Romanowski 5.000. Inż. Michał Szurek 1.000. Czesław Łopuski 5.000. M. Wittenberski 1.000. Henryk Karczewski 2.000. Zofia Łucka 2.000. Kazimierz Janicki 3.000. Zygmunt Trembicki 5.000. Bronisław Kwitniowski (poraz wtóry) 5.000. M. Zaborski 2.000. Włodzimierz Moyseowicz 1.000. Bronisław Berwid (poraz wtóry) 2.000. Stanisław Lipiński 5.000. Aleksander Tkacz 5.000. Adam Krzyżanowski 5.000 — razem 426.000, co doliczając do wykazu w numerze styczniowym „Łowca“ 2,969.840. otrzymujemy kwotę 3,395.840 Mp, jako dotychczasowy wynik dobrowolnej daniny myśliwskiej.

Odznaki członkowskie nowego nakładu będzie Towarzystwo oddawać członkom **w cenie 2.800 Mp.**

Wstrzymanie wysyłki „Łowca“ nastąpi bezwzględnie z dniem 1. marca b. r. tym wszystkim członkom, którzy w ciągu lutego wkładki za pierwszy kwartał uie uiszczą.

Zapowiedziany przedtem termin wstrzymania „Łowca“ odroczono tylko dlatego, że doświadczenia zeszłoroczne pouczyły, iż wstrzymanie takie zastosowane do zbyt wielkiej liczby restantów, wymaga utrzymania żmudnej ewidencji i osobnej manipulacji, wprowadzając czasem nawet później pewne przeoczenia i reklamacje.

Żywimy nadzieję, że w tym przedłużonym terminte wszyscy członkowie tę zaległość wyrównają.

Sprostowanie: daninę 10.000 Mp. złożył Antoni Szoszkiewicz (nie Szostkiewicz) — Nr. 1/23.

Komunikat.

Jesteśmy proszeni o umieszczenie następującego komunikatu:

Uprasza się sympatyków i zwolenników wyżłów dowodnych o liczne przystępowanie na członków do Oddziału naszego.

Centralny Oddział Kinologiczny.

Adres: Kazimierz Królikowski, Poznań, ul. 27. grudnia 7, III

Z literatury łowieckiej.

Nakładem książnicy narodowej Niemierkiewicza w Poznaniu, wyszło w r. ubiegłym z druku dzieło Włodzimierza Korsaka „Rok myśliwego“ — rzecz dla myśliwych i miłośników przyrody, z przedmową Józefa Weyssenhoffa, z 250 rysunkami autora.

Tej miary znawca polskiego myślistwa, co Józef Weyssenhoff, autor „Puszczy“ oraz „Sobola i panny“, pisze w swej przedmowie, że jest to pierwsze dzieło naukowe swego rodzaju w polskiem piśmiennictwie, wyborny podręcznik dla myśliwego, obejmyjący całość naszej fauny myśliwskiej i wszystkie praktykowane u nas rodzaje polowań.

Znakomitą tę książkę powinien przeczytać każdy myśliwy, młody i stary — pierwszy dla zdobycia wiedzy, drugi dla jej pogłębienia — mało jest zresztą dzieł, któreby się z takiem zajęciem i pożytkiem czytało, jak „Rok myśliwego“.

Tegoż autora wyszła również w zeszłym roku nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, powieść dla młodzieży, p. t. „Na tropie przyrody“, z 35 ilustracjami autora.

Jest to coś w rodzaju Sienkiewicza „W pustyni i puszczy“— opis barwny przygód myśliwskich młodocianych, lecz zapalonych myśliwych, zamieszkujących Białoruś, względnie elementarz zwierzęcy, główne zasady zachowania się myśliwych na polowaniu, użycia broni, sposobów polowań na rozmaite gatunki zwierzyny łownej, etyki myśliwskiej i t. p.

„Na tropie przyrody“ przypomina bardzo „Sobola i pannę“, ale, powiedzmy, w wydaniu dla młodzieży. *S. G.*

W korespondencjach i przy zamówieniach prosimy naszych czytelników powoływać się na ogłoszenia w „Łowcu“.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.